

ALEKSANDER PETERDY

## DZIECI.

(Z węgierskiego).

Porucznik uśmiechnął się wymuszonym, dziwnie zmęczonym uśmiechem.

— Pytasz mnie, czy się dzisiaj gorzej czuję? Co cię naprowadza na tę myśl?...

— Nie myślę się przecież... jesteś dzisiaj tak poważny, milczący... Czy może ból z rany mocniej się odzywa?...

— Ból z rany?... Nie... zatonałem myślą w wspomnieniach. Oto wszystkim...

Przyjaciół porucznika obruszył się.

— Ileż razy upominałem cię, abys nie myślał ciągle o tem, co już należy do przeszłości, abys nie wywoływał wspomnieniem tych burzliwych, męczących dni, które były dla ciebie powodem gwałtownych duchowych wstrząszeń... Poczekaj trochę, mój chłopcze, dopóki nie odzyskasz spokoju i równowagi nerwowej... Wrażenia te są zbyt świeże, nie powinienes ich poruszać, tak samo, jak nie należy dotykać świeżo namalowanego obrazu, na którym farby nie zaschły jeszcze...

— Prawda, prawda! Masz zupełną słusność, mój przyjacielu, ale nie jestem jeszcze na tyle panem moich nerwów... — usprawiedliwiał się porucznik — abym mógł z myśli wygnać wspomnienie wypadków świeżo przeżytych, a tem bardziej, gdy widzę przed sobą tych dwoje dzieci...

Wskazał ręką na dwóch ładniutkich chłopczyków, którzy ochoczo z całą dziecinną swobodą i wesołością bawili się w piasku.

— Któż to jest? — spytał gość.

— Przywiozłem te dzieci z Galicyi.

— Zatem coś niby łup wojenny.

— Tak i nie, coś w tym rodzaju... Moja matka zaopiekowała się niemi z wdzięczności za to, że ocalili mi życie...

— Co, te bębny?! Ależ w jaki sposób?! Podnieciłeś moją ciekawość do najwyższego stopnia... Czy cię to zbyt nie zdenerwuje, jeżeli mi opowiesz tę historję?...

— Nie...

— Zamieniam się cały w słuch...

— Stało się to tam, na galicyjsko-bukowińskiej granicy... Zaczęliśmy właśnie wtedy wypraszać Moskali... Nie było to wcale łatwe zadanie... Im gwałtowniej uderzaliśmy, tem zacieciej wróg się bronił. Kiedy ostatecznie jednak poznali, że przemódz nas nie zdołają, cofnęli się... Pozostały silne strażnice tyłne, które zakopały się w swoich krecich norach i starały się w dalszym ciągu powstrzymać nasz pochód... Było nas za mało, abyśmy ich mogli z dobrze obwarowanych kryjówek powyciągać, nie pozostawało więc nam nic innego, jak tylko oszańcować się na skraju wsi, w oczekiwaniu posiłków, które lada dzień nadejść miały...

— No i nie nadeszły?

— Nie, nie nadeszły, ale mimo to nieprzyjaciół obawiał się zaatakować nas, ponieważ udało mi się zmistyfikować go, że przyszły mi w pomoc nowe rezerwy. Mianowicie w czasie ciemnej nocy przemaszerowało kilka plutonów mojej kompanii koło szanów i następnie powróciło drogą przez wieś... Ten podstęp był jeszcze o tyle dobrze pomyślany, że zdołał wprowadzić kilku szpiegów, ukrytych we wsi, na fałszywy ślad... Byłem prawie pewny, że pewnego pięknego poranka zastanę nieprzyjacielskie rowy strzeleckie puste, ponieważ Rosyane, obawiając się przeważających sił, podadzą przezornie tyły...

— Niech cię to nie obraża, ale wyznam szczerze, że nie przypuszczałem w tobie tyle chytrkości i pomysowości...

Porucznik wzruszył lekceważąco ramionami.

— Siejający kulami karabin maszynowy i świszczący, syczący szrapnel, to doskonali nauczyciele, oni jeszcze wielu innych rzeczy nauczyć mogą... Przy pewnej nadarzonej sposobności kazałem dwóm plutonom odbyć znowu taki „spacer“... Nieprzyjaciół, jak gdyby o tem uprzedzony, zaatakował nas tej samej nocy... Zaledwie udało się nam odpędzić go do jego rowów...

— Zatem zdrada... We wsi byli szpiedzy, nieprawdaż?

— To była także pierwsza myśl moja po tej niespodziance... Daremnie jednak przetrząsnęliśmy i zbadali wszystko, szpiega nie można było ująć... Te kilka miesięcy wojny były doskonałą szkołą do-

świadczenia, jednakowoż tego, w jaki sposób nieprzyjaciół został tak dokładnie powiadomiony o naszych ruchach, nie zdołaliśmy wyjaśnić...

— Nie najprzyjemniejsza to była sytuacja.

— Zaprawdę nie... Jak tylko zmienialiśmy pozycję, natychmiast wiedzieli o tem Rosyane i brali nas na cel... Możesz sobie wyobrazić, jaką mnie to wściekłością napęłniało... Patrole krażyły po tej nędznej wiosce, każdego strzegły Argusowemi oczami — nikt nie mógł wyjść ze wsi, dawanie znaków świetlnych lub jakichkolwiek innych było wykluczone — szpiega jednak ani śladu... Mimo to rzeczą jasną było, że zdrajca istnieje i z nieprzyjacielem się porozumiewa...

— Okropna świadomość...

— Pewnego razu suszyłem sobie mózg nad tem, w jaki sposób możnaby tego tajemniczego szpiega wyśledzić... Siedziałem właśnie przed starą zmurszą chatą, podziurawioną przez kule nieprzyjacielskie, jak sito... Należała do starego, kulawego Rusina... Wszyscy sąsiedzi pouciekali, on jeden pozostał wraz z dwojgiem swych wnucząt, które widzisz w tej chwili przed sobą... Naturalnie nic mu się złego nie stało, starał się też wdzięczność swoją okazać... Chociaż z trudnością poruszał się o kuli, jednakowoż oddawał moim żołnierzom różne drobne przysługi... Znosił im owoce, przynosił wodę, zbierał listy, rozdzielał je i t. p. Podczas wojny każdy jest podejrzany, więc i naszemu staremu kuternodze nie doważałem zbyt... Miałem go na oku, nie mogłem jednak zaobserwować nic podejrzanego... Nigdy nie wychodził ze wsi, nie rozmawiał z nikim, cały dzień utykał po swoim obejściu... Czasem tylko bawił się ze swoim pokłudzonym kundlem, który uwiązany na łańcuchu przeraźliwym szczekaniem napęłniał powietrze... Zatem pewnego dnia siedziałem tam przed chatą na ławce, dręcząc się myślą o zdradzie... Stary gospodarz wygrzewał się na słońcu w ogrodzie... Przedemną bawili się w piasku jego wnuczki. Z roztargnieniem spoglądałem na ich zabawę.

— Nie hałasuj — zawołał starszy chłopczyk — ja jestem dziadkiem — i z wdzięcznymi ruchami zaczął się przechadzać, kulejąc pociesznie.

— A ja czem będę? — zapiszczał młodszy.

— Ty będziesz psem. Odejdź teraz na bok.

Starszy chłopiec zaczął biedź żwawo, wdrapał się zwinnie na drzewo, złożył małe rączki w kształt lunety, rozejrzał się na prawo i na lewo, poczem jednym skokiem znalazł się znowu na ziemi.

— Więc nie jesteś już dziadkiem? — zapytałem z uśmiechem.

— Jestem...

— A dlaczego nie kulejesz?

— Bo i dziadek teraz nie kuleje.

Zdumiałem się. Co to jest?! Coś tu niezupełnie jest w porządku — pomyślałem. — Niejasne przecucie zabłysło mi w mózgu.

— No! baw się, baw się grzecznie dalej — zachęcałem chłopca, drżąc wewnątrz.

Chłopczyk pobiegł prędko, znalazł jakiś kawałek papieru, rozłożył go, udawał, że kreśli na n'm jakieś słowa, poczem złożył go i ostrożnie, czołgając się na brzuchu, przybliżył się do braciszka.

— No, skacz! Przecież powiedziałem ci, że masz być psem.

Młodszy dzieciak zaczął naśladować szczekanie psa.

— Cicho! Nie wolno czekać, obudziłbyś wszystkich.

Pogłaskał brata i zatknął mu świstek papieru za kołnierz.

— A teraz biegnij przedziutko... tam...

I paluszkami wskazał w kierunku rosyjskich pozycji.

Zaczynałem rozumieć — zawołałem chłopca do siebie.

— Slicznie bawisz się, moje dziecko. Wujek żołnierz także się bawi, patrząc na to. Masz tutaj za to nowiutki, błyszczący pieniądz, możesz sobie za niego kupić dużo dobrych cukierków i ciastek... Ale powiedz mi, od kogo nauczyłeś się takiej ładnej zabawy?

— Od dziadka.

— On się także tak bawi z psem?

— Tak.

— Kiedy?

— Często. Wczoraj w nocy także widziałem. Usnąłem przy psie, a jakim się obudził, dziadek bawił się z naszym Burkiem i odsyłał go tam...

— Dobrze, bawcie się dalej...

Serce mocno uderzało mi w piersi. Szpieg był i ukrywał się w najbliższym moim sąsiedztwie.

Wieczorem wydałem moim żołnierzom rozkaz, aby cała kompania czuwała w pogotowiu do odparcia silnego ataku.

Kiedy noc ogarnęła ziemię, ogień karabinowy

ustał z wolna po obu stronach — zapanowała cisza. Skontrolowałem, czy wartownicy są na swoich stanowiskach, poczem w towarzystwie jednego żołnierza udałem się do chaty starego Rusina, tam się bowiem zakwaterowałem.

Stary spał w ogrodzie, przykryty jakimś podartym kocem, obok niego zaś dzieci.

W mojej izbie zamieniłem ubranie z żołnierzem, któremu poleciłem położyć się do mojego łóżka, poczem z zachowaniem największych ostrożności, wyszedłem przed dom. Młody kadet, który mi także towarzyszył w tej niebezpiecznej wycieczce, ukrył się pomiędzy drzewami (nawiasem dodać trzeba, że jego zawodem cywilnym było zapaśnictwo), sam zaś przyczałem się za krzakiem bzu.

Czekaliśmy.

Było już dobrze po północy, tymczasem nie słychać było żadnego szmeru, nic się wokół nie działo.

Zaczynałem już przypuszczać, że to wszystko było wytworem bujnej fantazyi dziecięcej, gdy wtem do uszu moich dobiegł jakiś ściszony szelest. Zacząłem nasłuchiwać. Spostrzegłem jakąś mglistą postać, która przesunęła się obok mnie kocim krokiem. Do myśliłem się, że to nasz gospodarz. Dojrząc rozplywających się w ciemności nocnej zarysów jego postaci nie mogłem. Rzucił się na ziemię i pełzając na brzuchu lub posuwając się na czworakach, przekradał się cichuteńko w stronę psiej budy.

Kiedy się tam dostał, zawołał cichym głosem psa i pogłaskał wierne zwierzę, które na widok swego pana łasiło się radośnie. Nasz stary przywiązał coś do obroży kundla i zamierzał go właśnie spuścić z łańcucha, kiedy ja nagle wyskoczyłem zza krzaka, podbiegłem ku niemu i zawołałem:

— Na kolana! Ręce do góry!

W pierwszej chwili stary jakby skamieniał, ale trwało to tylko sekundy. Natychmiast błysnął w jego ręce wyrwany zza cholewy buta nóż. Z błyskawiczną szybkością zdrajca rzucił się na mnie. Nie chciałem strzelać, aby nie zwrócić uwagi nieprzyjaciół i nie alarmować moich ludzi, zatem kolbą rewolweru uderzyłem go silnie między oczy, tak, że padł na ziemię. Zerwał się i runął znowu na mnie. W tejże samej chwili posłyszałem jakiś hałas, mój kadet opuścił swoją kryjówkę i biegł mi z pomocą. We dwóch daliśmy sobie radę wkrótce ze starym, który przyznać trzeba, jak na swój wiek, okazał wcale niepospolitą siłę. Podszedłem do ujadającego przeraźliwie psa. Zawarczał groźnie. Kadet pochwycił go silnie obu rękami, przygniół do ziemi, tak, że udało mi się zza obroży jego wydostać kawałek zapisanego papieru. Ten list zawierał następujące słowa:

*„Miejcie się na baczności, na jutro coś się przygotowuje, dam znać. Dzisiaj spijcie spokojnie, nie atakujcie. Nieprzyjaciół silny, czuwa“.*

Zastanowiłem się, co teraz czynić należy. Po krótkiej chwili powziąłem odpowiednio postanowienie: Zatknąłem papier znowu za obrozę kundla i spuściłem psisko z łańcucha.

Pies zaczął biegać dokoła w podskokach, obwąchiwać mnie, kłapać zębami, ale z miejsca się nie ruszał. Był doskonale wytresowany.

— Odeślij psa! — rozkazałem staremu, który nie spuszczał z nas swoich dziko polyskujących oczu.

Wiedział, że jest w naszej mocy, nie stawiał już więc oporu. Kiedyśmy mu zdjęli więzy z rąk i nóg podszedł do psa, pogłaskał go i zakomenderował:

— Dalej, Burek, marsz, marsz!

Pies, posłyszawszy ten rozkaz, puścił się w dziwnych podskokach ku rosyjskim stanowiskom.

Co za mądre zwierzę!

Związaaliśmy znowu naszego „gościnnego“ gospodarza, postawiłem przy nim wartę i udałem się do mojej izby, aby się w spokoju zastanowić nad tem, w jaki sposób należy zużytkować zdobyte wiadomości.

Następnego wieczoru rozkazałem dwóm plutonom cofnąć się nieco w tył, naturalnie z odpowiednimi poleceniami.

Potem poleciłem, aby przyprowadzono do naszych okopów starego szpiega.

— Widzisz, jak nas niewielu pozostało, tamci musieli się cofnąć. Donieś o tem Rosyanom przez psa.

Rusin patrzył na mnie błędnym wzrokiem, nic nie rozumiejąc.

— No, spiesz się, zrób to, co ci kazałem, w przeciwnym razie zadyndasz na stryczku!

Stary napisał to, co mu podyktowałem:

*„Nieprzyjaciół słaby, połowa odkomenderowana, atakujcie dzisiaj, dam znak rakiet“.*

Pies pobiegł spełnić polecenie.

Czy powrócił? pytasz!

Naturalnie! Rano leżał, jak zwykle, w swej budzie.